



Jerry Lee Lewis Mean Old Man

Verve 2010

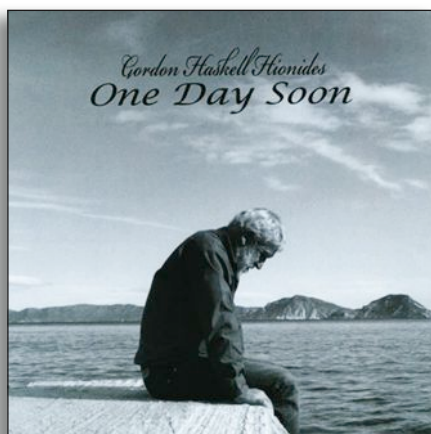
Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Już cztery lata temu Jerry Lee Lewis doczekał się dowodu uznania od kolegów z branży w postaci albumu „Last Man Standing”. Towarzyszyli mu na nim m.in. Jimmy Page, B.B. King, Bruce Springsteen i Neil Young. Płyta okazała się sukcesem, więc Lewis powrócił do koncepcji nagrań z udziałem sław.

Może lista gości na „Mean Old Man” jest mniej spektakularna, ale i tak robi wrażenie. Jak na poprzednim krążku usłyszymy tu trzech Stonesów, Erica Claptona i Ringo Starra. Nowi goście to: Sheryl Crow, Slash czy John Mayer.

Doborowe towarzystwo serwuje półgodzinną mieszankę lekko archaicznych standardów rocka, country i bluesa w klimacie rodem z południa USA. Jest to więc wycieczka w przeszłość, ale że muzyczny wehikuł czasu działa bez zgrzytu, to nawet kolejnych wersji znanych na pamięć utworów słucha się z przyjemnością. Lewis wciąż krzesze z fortepianu iskry, a w dodatku zestarzał się wytwornie i w jego śpiewie, niczym w głosie Johnny’ego Casha z ostatnich płyt, słychać doświadczenia trudnego życia rock’n’rolowego wygi.

Zazwyczaj o legendarnych artystach sprzed dekad show biznes przypomina sobie zaraz po ich śmierci. Tym lepiej, że debiutujący 60 lat temu Lewis doczekał się zasłużonego „upomnikowienia” jeszcze za życia. ■



Gordon Haskell Hionides One Day Soon

Gordon Haskell Hionides 2010

Dystrybucja: Universal Music Polska

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Na początek trzy mocne punkty. Utwór otwierający płytę jest godnym następcą „Harry’s Bar” – hitu, który kilka lat temu odnowił zainteresowanie słuchaczy angielskim wykonawcą, szczytującym się krótką współpracą z zespołem King Crimson. Piosenki „The Fools of Yesterday” nie powstydziłoby się najlepsi rockmani. Choć należy dodać, że solowe dokonania autora „One Day Soon” nie mają prawie nic wspólnego z nagraniami grupy kierowanej przez Roberta Frippa. Gordon Haskell słynie bowiem z melodyjnych, przyjemnych dla ucha, a przy tym pomysłowych, profesjonalnie zaranżowanych i wykonanych ballad.

Świadczy o tym drugi mocny punkt – wstęp do „Some Sins (I Should’ve Known By Now)”. Współbrzmienia basu i akustycznej gitary są tu genialne. Wreszcie trzeci utwór – „Forevermore” – zachwyca nie tylko melodią, ale nostalgicznym tekstem.

Dalej jest różnie, chociaż produkcja nigdy nie schodzi poniżej pewnego poziomu. Za to jest jeszcze kilka momentów, jak chociażby „Wounded Tigers”, których chciałoby się słuchać bez końca.

Co do realizacji, to może nie jest ona audiofilska, ale też trudno jej cokolwiek zarzucić. Haskell znów stanął na wysokości zadania. ■



The Black Crowes Croweology

Silver Arrow Records 2010

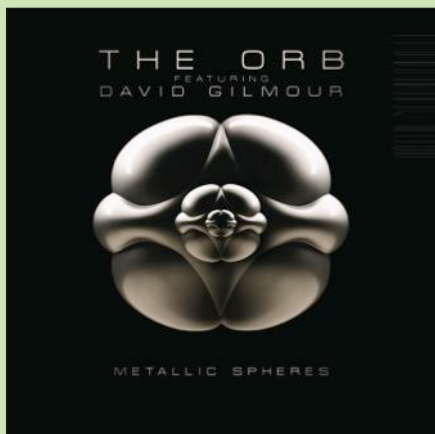
Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Album kolejnego wykonawcy sięgającego w przeszłość, chociaż nie aż tak odległą jak ta, do której ostatnio wracają Phil Collins czy Eric Clapton. Grupa The Black Crowes, znana przede wszystkim z „Shake Your Money Maker” (1990), z okazji 20-lecia ukazania się ich debiutanckiej płyty, nagrała jeszcze raz swoje najpopularniejsze piosenki – tym razem w wersjach akustycznych – i wydała je na podwójnym albumie „Croweology”.

Co mamy w efekcie? Kolejny zbiór nieco inaczej brzmiących hitów? Ależ skąd! Melomani otrzymali dzieło wybitne – takie, które z powodzeniem może kandydować do tytułu „Płyta Roku 2010”. Fakt, że mamy do czynienia z powtórkami, wcale nie obniża ich wartości. Bo te powtórki są tak zagrane i zaśpiewane, że można ich słuchać bez końca.

„Croweology” to kwintesencja rocka z domieszką folku. Najwyższa półka. The Black Crowes – mający w dorobku albumy dobre i takie sobie – tym razem pokazali się z najlepszej strony. Nie ma tu ani chwili nudy. Jakby wybrać najlepsze wokale z repertuaru kwartetu Crosby, Stills, Nash and Young, dodać trochę gitarowej energii w stylu „Exile On Main Street” The Rolling Stones i wszystko okraszyć sentymentalizmem Van Morrissona. Pomyślano nawet o fikuśnej okładce – w chwili rozłożenia powstają z niej czarne wrony.

Rewelacja! ■



**The Orb featuring David Gilmour
Metallic Spheres**

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●●○

Wspólna płyta zasłużonego dla ambientowej sceny The Orb oraz gitarzysty Pink Floyd to niespodzianka, ale i – jak przysługują zainteresowani – logiczne następstwo istnienia wielu wspólnych płaszczyzn tych muzycznych światów. Wprawdzie od psychodelii oraz kosmicznych klimatów David Gilmour odszedł dobrych parę lat temu, ale w czasie współpracy z Alexem Patersonem oraz Martinem „Youth” Gloverem bez problemu przypomniał sobie dawne, awangardowe dokonania Floydów.

Z jego lap steel guitar wydobywają się charakterystyczne niepokojące „jęki”, tworzone techniką slide, a i słynny czarny Stratocaster ciekawie się prezentuje na tle delikatnej elektroniki The Orb. Prócz gitar wciągające się frazy instrumentów klawiszowych Brytyjczycy wplekli odgłosy natury, rozmowy i kolaże dźwiękowe. Chociaż nie brakowało już mariaży takich stylistyk (Fripp i Eno, Oldfield), to dla fanów rocka „Metallic Spheres” może stanowić dobre wprowadzenie do muzyki elektronicznej.

Pomimo patetycznego orkiestrowego finału dwie ścieżki tworzące album to raczej jeden ambientowy „set” niż progrockowa suita. Poszczególne tematy przechodzą płynnie jedne w drugie, ale trudno powiedzieć, by ta kompozycja miała wyraźny kształt.

Płyta The Orb z Gilmourem zyskuje z każdym przesłuchaniem, lecz pozostaje raczej ciekawostką niż arcydziełem. ■

Bartosz Szurik



**Patrycja Markowska
Patrycja Markowska**

EMI 2010

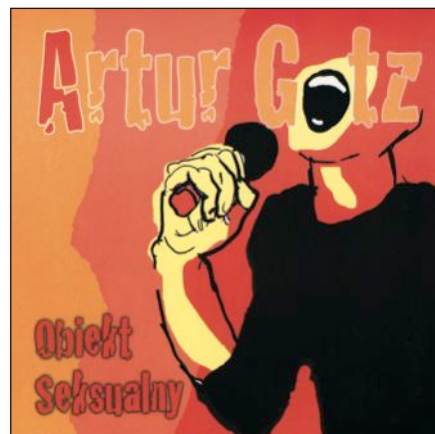
Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●●○○

Najnowsza płyta Patrycji Markowskiej to kwintesencja polskiego popu: 3-, 4-minutowe, lekko rockowe kompozycje. Prościutkie melodie, banalne teksty, solidna praca instrumentalistów-rzemieślników. Całość zaś zmasterowana do radiowych standardów, czyli w myśl „im głośniejsze nagranie, tym lepsze miejsce na liście przebojów”.

Za większość muzyki odpowiada Jerzy Runowski, znany ze współpracy z Kasią Kowalską. Prawdopodobnie dlatego płyta brzmi jak dokonania tej wokalistki lub jednej z jej fonograficznych kopii. Choć wszystko jest tu na miejscu, to dominuje poczucie, że zamiast Markowskiej każdą piosenkę mogła spokojnie zaśpiewać inna pop-rockowa gwiazdka – od Dody po Beagę Kozidrak. Markowska, owszem, ma rozpoznawalne nazwisko, ale najwyraźniej brak jej pomysłów na to, co może pod nim sprzedać. Na jej piątym albumie znajdziemy parę chwytliwych refrenów („Lew story”), kilka ballad o miłości („Księżycowy”), ale gdzie odrobina oryginalności? Gdzie „styl Patrycji Markowskiej”, którym mogłaby oczarować?

Z pewnością nie tkwi w kilku napisanych przez nią tekstach, bo gdy rozbrzmiewają słowa: „Hello, hello, hello/ wiem już, czego chcę/myślę o tym/że to nie koniec”, to nawet średnio wrażliwy słuchacz też wie, czego chce i ma nadzieję, że ów koniec nadejdzie czym prędzej. ■

Bartosz Szurik



**Artur Gotz
Obiekt seksualny**

Luna 2010

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●○○○

Od samego początku „Obiekt seksualny” wprowadza w zakłopotanie: czy to album muzyczny? A może kabaret?

Pierwszą hipotezę zdaje się podważać antyspiew Gotza, którego aktorską ekspresję aż trudno znieść. Drugą – nie najwyższej jakości humor i zbyt dobra muzyka w tle – choćby autorstwa Koniecznego czy Waglewskiego – często bardziej interesująca niż utrudniająca jej odbiór popisy wokalisty.

Podobne dylematy się mnożą, bo płyta jest niespójna. Wbrew tytułowi i sugestii wydawcy, jakoby miały się na nią składać muzyczne erotyki, trafiają się też piosenki rozbijające tematyczną konwencję. Fakt, że teksty wyszły spod pióra nie mniej niż dziesięciu autorów, dodatkowo komplikuje sprawę. Choć teksty Osieckiej czy Broniewskiego prezentują oczywistą klasę, to zmierzenie się z utworem „Kobiety są jak pierogi” stanowi dość trudną próbę charakteru. W końcu nawet sam Dariusz Rzontkowski, twórca większości materiału, prezentuje istną mieszankę stylów: od infantylnie urokliwych kompozycji w rodzaju „I z kropeczką”, po wulgarnie piosenki-dowcipy („Ptaka”).

Na scenie taka forma wypowiedzi ma zapewne rację bytu, ale na płycie jest po prostu męcząca. ■

Bartosz Szurik

